

Marek Wawrzkiwicz

Piszemy wiersze

czyli sami sobie siebie tłumaczymy

Wyzbądźmy się zarozumiałości, postawmy na zrozumienie: nie potrafimy opisać świata. Opisujemy nasze **widzenie świata**. Wiersz trafia do odbiorcy wówczas, kiedy on, czytelnik czy słuchacz, widzi świat tak samo, albo podobnie jak my. Ale jest to krańcowo rzadkie. Czy mamy wobec tego inną szansę? Tak – jeśli nasza perswazja, czyli wiersz, jest na tyle sugestywna, tak przekonująca, że czytelnik przyjmuje ją jako swoją.

Oprócz czterech żywiołów świat składa się z miliarda drobiazgów: krajobrazów, temperatur, wiatrów, przedmiotów, zapachów, barw. I ludzi, którzy świat zamieszkują – z pożytkiem dla tego świata lub nie. Boję się, że zaczyna rosnać w siłę ta druga kategoria. O tym potem. Najpierw o zmysłach. Bo one rozpoznają świat, który próbujemy opisać.

I

Przeczytałem gdzieś, że istnieje przeszło ćwierć miliona kolorów. Dobry malarz kolorysta widzi ich około 30 tysięcy. My rozróżniamy kilkadziesiąt, ale z pewnością nie wszystkie umiemy nazwać. W międzywojennej i jeszcze wcześniejszej poezji polskiej było bardziej kolorowo. Występowały w nich amarant, szkarłat, pąs, karmazyn („Karmazynowy poemat” Lechonia). Teraz w poetyckim użyciu jest prawie wyłącznie kolor czerwony, a przecież ma on 33 odcienie. Jeśli więc umawiamy się na spotkanie w świetle **czerwono zachodzącego słońca**, to miejmy świadomość, że dla każdego z nas słońce zachodzi w nieco innym czerwonym kolorze. A kiedy się uprzemy, że musimy uzgodnić w jakim, to pewnie będziemy to robić metodą porównań: czerwone jak poziomka, jak owoc róży, jak kalina, jak jarzębina... Świat widziany przez malarzy inspirował i inspiruje wielu poetów. Wielkie dzieła malarskie i rzeźby znalazły interpretacje w olbrzymiej ilości wierszy i ta mnogość dobrze świadczy o wrażliwości poetów. Chciałbym się mylić, wydaje mi się jednak, że nie działa to w drugą stronę. Pewnie nasze widzenie świata nie przekłada się na obraz. Nie jestem pewien, czy możemy mieć o to pretensje. Kilkanaście lat temu w czasie przygotowań do kolejnej Warszawskiej Jesieni Poezji wysłałem wiersze do malarzy skupionych w stowarzyszeniu pastelistów z prośbą, aby artyści nie tyle zilustrowali te wiersze, ale żeby się nimi zainspirowali. Otrzymaliśmy 40 obrazów, które potem wystawiliśmy dołączając do każdego z nich rękopis wiersza. Tylko trzech poetów rozpoznało w obrazach swoje utwory. Pomyślałem, że tak właśnie powinno być: poeta pisząc wiersz

tworzy pewien obraz. Ale odbiorca wiersz czytając widzi obraz zupełnie inny. A to znaczy, że wiersz jest dobry, bo niejednoznaczny. Dawno temu towarzyszyłem pewnej damie w ceremonii zakupu perfum. Dama kilka lat przedtem poddała się operacji laryngologicznej, w wyniku której straciła zmysł węchu. Pytała mnie jak pachnie zawartość kolejnego flakonika. Zadanie to okazało się niewykonalne: mówiłem, że zapach jest słaby albo mocny, słodki albo gorzki (i tu wkroczyłem w sferę innego zmysłu – smaku). Ponieważ wyjaśnienia były niewystarczające, próbowałem dalej: perfuma pachniała mi konwalią, jaśminem, maciejką, fioletowym tubinem kwitnącym na Suwalszczyźnie, kwiatem lipy, bzem, a nawet piżmem – jakbym wiedział jak to pachnie. Ale uświadomiłem sobie, że mimowolnie wkroczyłem na tereny poezji, bo czymże innym jest porównanie zapachu cieczy w butelce z wonią kwiatów. A w dodatku zapachy te nie bywają jednorodne, komponowanie perfum jest sztuką podobną do komponowania symfonii. Trud mój oceniam jako bezowocny, bo przecież nie sposób **opowiedzieć** zapachu nikomu, a już tym bardziej osobie o przetrąconym powonieniu. Antoni Słonimski w wierszu „Żal” napisał... *i bez pachniał jak bez*. Uważam, że jest to konstatacja genialna. Mamy w pamięci zapachy, których nie da się opisać w żadnym wierszu, bo są one naszą wyłączną, prywatną, niezrozumiałą dla innych własnością: zapach świeżo zaoranej ziemi, zapach włosów ukochanej kobiety, zapach wody w zakolu rzeczki z dzieciństwa, zapach farby drukarskiej płynącej z pierwszego egzemplarza debiutanckiego tomiku... Próbowujemy to zapisać w wierszu i prawie nigdy nam się to nie udaje. Ale to optymistyczne, bo mamy jeszcze coś do zrobienia.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych pojechałem do domy pracy twórczej pisarzy ormiańskich. Miejscowość Cachkadzor w Armenii położona na wysokości 2000 m wtedy odznaczała się tym, że po uliczkach przechadzały się wielkie dziewczyny o barach żubra – obóz treningowy miały tam pływaczki reprezentacji Związku Radzieckiego. Przyjechałem po obiedzie, do kolacji było sporo czasu, a że byłem głodny, udałem się do przydrożnej knajpy. Zamówiłem karafkę wina, lulia kebab i sałatkę z pomidorów. Jedząc tę sałatkę mężczyłem się, bo nie mogłem sobie przypomnieć co mi ten smak przypomina. Ale ponieważ jestem wybitnie inteligentny, to już po piętnastu minutach wiedziałem: pomidor przypominał mi smak pomidorów. Takich, jakie jadłem w dzieciństwie. Od lat szukam tego smaku i nie znajduję, mimo, że jem to coś, co

na oko wygląda jak pomidor. *Addio, pomidory* – napisał Jeremi Przybora. Nawiasem mówiąc piosenka ta jest swojego rodzaju źródłem historycznym, dokumentuje bowiem czasy, kiedy pomidory występowały tylko w porze roku im przypisanej. Ale to tylko na marginesie.

Może ten sam prehistoryczny poeta, który jako pierwszy porównał kobietę do kwiatu, napisał też, że jego ukochana miała słodkie usta. I tak zostało aż do dziś, zaakceptowaliśmy to bez zastrzeżeń, z wyłączeniem trzeźwego myślenia. Gdybyśmy je włączyli, to doszlibyśmy do konkluzji, że kobieta ma usta słodkie po zjedzeniu łyżki miodu, gorzkie po zjedzeniu garści piołunu, a upajające – nie będą tłumaczyły po jakiej konsumpcji. W sferze tych porównań poezja nie dokonała przełomu, choć nie ustawała w próbach. Poeci baroku byli rubaszni, a niekiedy i sprośni, poeci romantycyści najczęściej tragiczni, na ich uczucia kładł się czarny cień przeczcucia miłosnej kłębki. A poeci współcześni? W pierwszej fazie zakochania piszą wiersze młodzieńcze, później, już na zgłiszczach miłosnych zapachów, zawstydzające ich samych, w fazie katastrofy – bardziej udane, co dowodzi, że wszystkich nas zrodził romantyzm. Zresztą sprawa jest dodatkowo skomplikowana w epoce, kiedy poetki piszą męskie wiersze, poeci zaś wiersze zniewieściałe. Wróćmy jednak do zmysłu smaku.

Proza światowa, ale także polska, pełna jest wspaniałych opisów uczt oraz pochwał dla jednego z grzechów głównych – obżarstwa. *Dobre wino i dobre mięswo to są rzeczy dobre* powiada Colas Breugnon w powieści Romain Rollanda. Brakuje nam dziś tego hedonizmu. Poezja, szczególnie polska, jest pod tym względem uboga, choć tworzyli ją często ludzie – łagodnie mówiąc – biesiadni, nie gardzący uciechami stołu. Grzebię w ułomnej pamięci i znajduję niewiele. Mistrz Gałczyński rozpoczął pewien wiersz od słów – cytuję z pamięci – *Kiedy żeśmy się zesłi, zasiądzmy za stołem / chłopcy rosłe, pleczyste, z obliczem wesołem...* Ale menu znajdujemy dopiero w innym wierszu poety, w „Balladzie o mrówkojadzie” – opisującemu losy tego zwierzęcia w spotkaniu z poetami: *... siedzą, jedzą poeci /...golonka z dużym chrzanem / piwo pod fortepianem...* Historie o biesiadowaniu poetów znamy nie z wierszy, a z anegdot o nich, przy czym potrawy czyli zakąski występują jako drugie tło. Tadeusz Przyppkowski do spółki z Magdaleną Samozwaniec (ilustracje Maji Berzowskiej) napisał uroczą książkę pod tytułem „Łyżka za cholewą, a widelec na stole”. Jest w tym dziele przepis kulinarny z XVIII